

# Syn burżuja, czyli jak zabierali nam Zawory

**Romuald „Aldek” Roman**



Romuald „Aldek” Roman,  
wspaniały gawędziarz.

Wiem, że mi nie uwierzycie, że trzyletnie dziecko może coś pamiętać przez całe życie, lecz scenę zabierania naszego domu w

Zakopanem pamiętam tak, jakby to było wczoraj. Nie tak jak pamięta się film, czyli jako ciąg wydarzeń, lecz inaczej, jakby przeszłość zapisała się w szparze spojrzenia, w jednym bardzo wyraźnym ujęciu. Ja tak właśnie pamiętam scenę na ganku Zaworów. Tak ją widziałem ja, trzyletnie dziecko, biegnąc korytarzem w stronę wejścia do domu, zanim mama mnie złapała, wzięła na ręce i wyniosła do mieszkania, żeby nic mi się nie stało.

Potem słuchałem jednej babci, drugiej babci, mamy i każda z nich niby to odpowiadała na moje pytania, jak to wtedy było, ale wszystkie chciały mnie zbyć. A ojciec, gdy tylko wspomniałem, że nam dom zabrali, patrzył na mnie takim wzrokiem, że uciekałam szukać ratunku babci. Dopiero później, po latach, już jako nastolatek, poskładałem kawałki różnych opowieści i porównałem to z zapamiętaną sceną, aby w końcu wyrobić sobie opinię, jak to wtedy było. Zanim jednak wrócę do tamtego momentu, muszę naszkicować miejsce akcji i przedstawić jej bohaterów.

Nasz dom nazywał się Zawory i został wzniesiony przy ulicy Tetmajera w latach trzydziestych przez krawca biznesmena Nalepę, który budował i sprzedawał coraz to większe domy. Najpierw wybudował Hrabinę (teraz jest to wojskowy dom wypoczynkowy i tak go przebudowano, że ze starego domu nic już nie zostało), potem nasze Zawory, i ten dom kupił od Nalepy

mój ojciec ze swoją drugą żoną. Trzecim, największym projektem pana Nalepy, jest do dziś nieprzebudowany Tatrogród.

Pensjonat w Zakopanem to była w XX wieku bardzo dobra inwestycja. Ojcu skapywały grosiki do pularesu i za czasów premiera Becka, i za czasów prezydenta Bieruta, aż ten drugi przerwał brutalnie burżujskie zapędy mego rodziciela. Zanim to jednak nastąpiło, w niewielkim czternastopokojowym pensjonacie mieszkaliśmy całą gromadą: ojciec z mamą, matka ojca Lena, matka mamy Romana (jak to się dziwnie czasem składa z tymi imionami), no i ja. Po przydzieleniu pokojów rodzinie i oddaniu mieszkania na strychu państwu Kowalikom, którzy prowadzili nam pensjonat, dla gości hotelowych zostało niewiele pokoi. Ponieważ jednak ojciec nie pracował i czekał na przybycie generała Andersa z Londynu, a mama albo płakała, albo malowała obrazy, z tego naszego pensjonatu wielkich dochodów nie mieliśmy. Ot, mieszkaliśmy za darmo i zatrudnialiśmy kogoś, żeby sprzątał i palił w piecach.

Ja, trzyletnie dziecko, nie zdawałem sobie sprawy, że otaczają mnie postacie jak z bajki. Stary ojciec – kiedyś żołnierz i aktor, „bohater dziejowy” udający chorego biedaka. Zupełnie bezwolna, zastraszona, młodsza od ojca o lat blisko dwadzieścia mama. Matka mojej mamy, czyli Babcia z Dołu, wdowa po sędzim, która z głupoty i miłości do wnuków straciła mieszkanie i pracę i odgrywała rolę pani Dulskiej w domu swego znienawidzonego

zięcia. Wreszcie matka mojego ojca, czyli Babcia z Góry, błękitnooka Lena, która przez całe życie miała ambicję zostania arystokratką i po śmierci pierwszego męża wyszła za mąż za prawdziwego hrabiego, ten jednak odszedł od niej w sposób tajemniczo-tragiczny. Myślała, że jest hrabiną, a mieszkała w domu syna z jego nieakceptowaną żoną i jeszcze bardziej nieakceptowaną matką tejże żony. Niezła menażeria, prawda?

Spróbujcie teraz wyobrazić sobie, jak oni się z sobą gryźli. Mama wyszła za mojego ojca, bo spodobała mu się, gdy była uciekającą przed bezpieczeństwem studentką, a on w romantycznym odruchu zapłacił duże pieniądze, by jej nie zamknęli za działalność w antykomunistycznej organizacji. Narzeczony mojej mamy z czasów studiów, Jarek Heger, który był asystentem na Akademii Sztuk Pięknych, dostał dożywocie i siedział w więzieniu we Wronkach pod Poznaniem. A mamie się udało, bo młoda i ogrywająca antykomunistyczną Joannę d'Arc sprzedała się starszemu panu, który właśnie rozwiódł się z żoną numer trzy i szukał nowego romansu.

Mój pięćdziesięciodwuletni wówczas ojciec był wysokim, postawnym mężczyzną i wyglądał na okaz zdrowia. Było to złudne, gdyż biorąc udział w obu wojnach światowych, parę razy został ranny, miał przestrzelone płuca (jako szesnastoletni legionista leczył się w sanatorium doktora Chramca) i dziurę w czaszce nad uchem. Na tych wojnach, oprócz dziur po kulach,

dorobił się Krzyża Virtuti Militari i Krzyża Walecznych. A gdy nie wybuchały akurat wojny, był aktorem. Przez osiem lat występował nawet w Nowym Jorku (doskonale znał angielski), a po wojnie, choć na krótko, zanim obraził się na świat, próbował powrócić na scenę. Naiwnie myślał, że przetrzyma parę lat komuny, a potem znowu wybuchnie wojna, na białym koniu z Londynu przez morza przycwajał general i znowu będzie można żyć jak dawniej.

Mama ojca nie kochała, ale w sumie mogło się jeszcze między nimi ułożyć, gdyby nie to, że ich małżeństwo rozpadło się, gdy mama, z niepasującym do niej uporem i odwagą, wymusiła na ojcu, by pozwolił jej sprowadzić do Zakopanego matkę. I ta moja nieśmiała, niezdolna do żadnej decyzji mama potrafiła, jeden raz w całym swoim życiu, zbuntować się, stawić czoło mężowi, nie dać się zastraszyć rządzącej wszystkim teściowej, wyprowadzić się z pięknej, dzielonej z mężem sypialni do jednego pokoiku, aby tam gnieździć się ze swoją przez nikogo niechcianą matką i synkiem. Ten synek to oczywiście ja. Jak to się stało, że w ogóle doszło do takiej sytuacji?

Otóż matka mamy chciała pomagać swoim dzieciom w wychowywaniu wnuków. Gdy jej najstarszemu synowi tuż po wojnie urodziła się pierwsza córeczka, Elżbieta, matka mojej mamy zostawiła pracę i mieszkanie i pojechała do Warszawy niańczyć wnuczkę. Po roku żona syna, Tosia, oznajmiła: „Albo ja,

albo twoja matka” i syn ze łzami w oczach odprowadził rodzicielkę na dworzec. Obrażona, pojechała do córki Dusi, gdzie przyjęto ją z otwartymi ramionami, bo Dusia miała dwóch maleńkich synków. Po dwóch latach jednak zięć Staszek kategorycznie zażądał, aby teściowa opuściła jego dom, i wtedy jedyną osobą, która mogła ją przyjąć, była moja mama. I tak to historia króla Leara powtórzyła się w mojej rodzinie – najmłodsza córka okazała matce najwięcej serca. I drogo za to zapłaciła.

Gdy Babcia z Dołu przyjechała do Zakopanego, Babcia z Góry oświadczyła: „Po moim trupie”. Ojciec, który często się z nią zgadzał, powiedział to samo. Gdyby dotrzymali słowa, w naszym mieszkaniu zrobiliby się luźniej, ale żyli tak jeszcze z sobą, gryźli się i nienawidzili przez ponad piętnaście lat. Babcia z Dołu od pierwszego dnia zaczęła mnie uczyć, że ojciec to pijak, leń i degenerat, a jego matce słoma z butów wyłazi, a hrabinę udaje. Babcia z Góry zachowywała się wyniośle i nigdy nie rozmawiała z „tą panią”. Ojciec zamykał się w swoim pokoju i pił więcej niż zwykle. Każda z tych trzech kobiet chciała mieć mnie po swojej stronie. Babcie uczyły mnie pogardy i zapiekłej złości do swoich wrogów zza ściany, ojciec miał dość życia i ani w głowie mu było cieszyć się synem, a mama płakała i malowała obrazy.

W Zaworach podczas wojny nie straciliśmy ani jednej łyżeczki, ani jednego mebla, gdyż Niemcy, pod nieobecność ojca, który spędził wojnę w partyzantce w lesie, urządzili sobie u nas hotel

dla esesmanów i wszystkie nasze rzeczy powkładali do skrzyń i wynieśli do piwnicy. Czekają tam na nas te skrzynie do 1945 roku i dopiero gdy Niemcy wyszli z Zakopanego, miejscowa ludność nieśmiało zaczęła próbować dobierać się do dóbr dawnych właścicieli domu. Ale wtedy właśnie wrócił ojciec i pokrzyżował plany sąsiadów. Wziął sobie za punkt honoru przeczekać i żyjąc z zaoszczędzonych pieniędzy, nie pracować dla komuny, tylko dotrwać do czasów, gdy wszystko się zmieni. Teoretycznie miał wystarczająco dużo pieniędzy i złota i wymyślił takie schowki, żeby żadna ubecka rewizja ich nie znalazła. Jeden zwitek dolarów włożył do puszki po konserwie, puszkę zalutował i umieścił w drugiej puszcze, po czym zamurował ją w filarze ganku. Drugą część dolarów ojciec poutykał w rurkach instalacji elektrycznej w olbrzymiej marmurowej lampie ze spiżową jaszczurką, która stała na jego biurku.

Mój zapobiegliwy rodziciel miał podobno jeszcze spory rulonik złotych dwudziestodolarowych monet, ale gdy zabierali nam dom, już ich nie było, gdyż ojciec, wiedziony przeczuciem, „korzystnie” sprzedał złoto trzy tygodnie przed dewaluacją złotówki. Miał ogromnego pecha, gdyż państwo ludowe ustaliło limit starych pieniędzy, które można było wymienić na nowe, a my mieliśmy tak dużo tych starych, że nie mogliśmy znaleźć nikogo, kto pomógłby nam je wymienić. Zostaliśmy więc ze stertą makulatury.

Ojciec jednak stracił już tak dużo, że nie załamał się wymianą pieniędzy i pocieszał myślą, iż ciągle jeszcze ma dobrze schowanych parę tysięcy dolarów. Niestety, nieszczęścia chodzą parami, a czasem nawet dobierają się w trójki. Kiedyś w pokoju ojca zaczęło coś śmierdzieć. Mama to czuła i mówiła, że zapach jest jakiś nieprzyjemny, na co on się obruszał. Babcia z Góry też przebąkiwała, że w jego pokoju daje się wyczuć jakiś odór. W odpowiedzi ojciec w pokazał jej rosyjskie papierosy w granatowych pudełkach z wymalowaną trójką, które palił, i wytłumaczył, że na to mu teraz przyszło, że musi palić cuchnącą radziecką machorkę. Babka nie drażyła tematu, a mama tak się go bała, że też zamilkła. A smród w pokoju ojca brał się z tego, że w lampie stojącej na biurku zwęglowały się dolary. Kiedy wreszcie rozebrał lampę, bo przestała świecić, najpierw się wściekł, a potem zgorzkniał i taki pozostał już do śmierci.

\*\*\*

Teraz, gdy już ich wszystkich znacie, mogę wrócić do majowego południa w 1952 roku, gdy Babcia z Góry, stojąc na ganku na pierwszym piętrze, cieszyła się kwitnącymi jabłonkami rosnącymi tuż pod jej oknem, a gdy popatrzyła trochę w lewo, w stronę wjazdu, mogła jeszcze stwierdzić, że jej ulubiona wiśnia też zapowiada piękny zbiór owoców. Tylko na starej gruszy co roku było coraz mniej gruszek. Ale i tak będzie z czego robić konfitury.



Babcia z Dołu siedziała na ławeczce koło fontanny i czytała jakąś mądrą książkę pożyczoną z biblioteki. Bardzo ceniła francuskiego pisarza Dumasa ojca, choć specjalnie się z tym nie afiszowała, gdyż trochę się ci Francuzi za często dziurawili szpadami. Wartka akcja jednak wynagradzała mrozące krew opisy pojedynków.

Mama szkicowała przy stole, kopiując Dürera, bo chciała poprawić technikę malowania dłoni, ponoć dowód umiejętności każdego malarza. Ojca nie było nigdzie widać, ale pewnie oddawał się swojemu ulubionemu zajęciu, czyli palił papierosa.

Aż tu nagle majową idyllę przerwał warkot dwóch ciężarówek, które zajechały pod nasz dom. Widok niesłychany: prawdziwe, wojskowe, zielone ciężarówki, paki przykryte plandekami, pod nimi ukryci żołnierze z karabinami. Gdy tylko samochody stanęły, żołnierze, a było ich chyba po dziesięciu w każdym ciężarówce, wysypali się na ulicę i pod okiem dowódcy zaczęli ustawiać się w szeregu i groźnie sprawdzać karabiny. Najwidoczniej przygotowywali akcję równoczesnego wejścia dwoma grupami przez obie furtki w otaczającym Zawory białym drewnianym płocie. Przygotowania trwały parę minut, ot tyle, żeby mój ojciec zdążył pojawić się na ganku. I takiego go zapamiętałem. Jak później sprawdziłem, miał metr osiemdziesiąt siedem wzrostu, ale w oświetlającym go słońcu, z dumnie podniesioną głową, w marynarce, eleganckiej koszuli z krawatem i w stylowych

„przedwojennych” pumpach, kapitan Mieczysław Antoni Roman wyglądał jak prawdziwy generał. A i głos miał nie byle jaki, tubalny, prawdziwie wojskowy. I krzyknął do żołnierzy (teraz myślę, że nie byli to prawdziwi żołnierze, tylko NKWD):

- Co tu się dzieje pod moim płotem?

A dowódca spojrzał nań z pogardą i odkrzyknął:

- W imieniu władzy ludowej zabieramy wasz dom pod przymusową administrację państwową. A potem wydał komendę:  
- Pluuuuton! Naprzód maaarsz!

Daleko jednak nie pomaszerowali, gdyż stała się rzecz przedziwna. Ojciec, o czym nikt w domu nie wiedział, miał broń, pistolet nagan, pewnie jeszcze z czasów partyzantki. I gdy dzielni enkawudziści złapali za klamkę furtki, ojciec podniósł pistolet, wymierzył i powiedział dobitnie:

- Zaraz się przekonacie, czerwone skurwysyny, jak strzela przedwojenny oficer!

Nie musiał strzelać. Młodzi żołnierze na widok pistoletu rozpięchli się na boki. Został tylko dowódca, ale i on nie miał zamiaru zaliczyć kulki, bo zaczął negocjacje:

- Tylu nas jest, że podziurawimy was, obywatelu, pociskami jak sitko.

- Najpierw zastrzelę pierwszych trzech, którzy przejdą przez furtkę!

I wtedy nadbiegłem ja. Poczułem, jak mama złapała mnie, uniosła i uciekła do domu, bo gdyby doszło do strzelaniny, mogłoby mi się przytrafić coś naprawdę złego. Po chwili przybiegła Babcia z Góry, złapała ojca za rękę, tę, w której trzymał pistolet, zasłoniła go swoim ciałem przed żołnierzami i zaczęła krzyczeć:

- Mieciu! Zostaw im to! Nie poświęcaj życia dla jakiegoś domu. Niech biorą, co chcą. Ty masz syna. Ty masz jeszcze wiele lat życia przed sobą. Idź do swojego pokoju i zamknij się na klucz, a ja z nimi wszystko załatwię.

I tak też się stało. Mój potężny, bohaterski ojciec zmałał, odwrócił się na pięcie i powlókł do swojego pokoju. Po chwili usłyszeliśmy wystrzał, więc wchodzący nieśmiało żołnierze znowu się zatrzymali, a ich dowódca pospieszył z pocieszeniem:

- To nic. To pewnie burżuj się zastrzelił.

Ale ojciec się nie zabił, tylko ze złości strzelił do zegara na

ścianie. Potem przez wiele lat wiedzieliśmy, o której dokładnie godzinie zabrali nam dom. A żołnierze od razu zabrali się do pracy. Przydzielili każdej osobie po jednym pokoju, żeby nam się w głowach nie poprzewracało, a niepotrzebne meble wyrzucali z okien przed dom. Powiedzieli nam, że już za parę dni rozpoczną się w Zaworach obozy junaków i będziemy mieli okazję się przekonać, jak młodzież kocha władzę ludową i towarzysza Stalina.



Zakopane, Pensjonat Roztoka, kedyś Zawory.

Przyjechali junacy. Prości wiejscy chłopcy szesnasto-osiemnastoletni, zakochani w swojej misji dziejowej. Co było tą misją, wtedy jeszcze nie wiedziałem. Dopiero po wielu latach, gdy poznałem starego leśniczego, który jako emeryt przyszedł do Tatrzańskiego Parku Narodowego, żeby nakłaniać młodych inżynierów, by zapisywali się do partii, usłyszałem:

- Och, wy młodzi... Wy nigdy nie przeżyjecie tej euforii, tej radości, która towarzyszyła mi, gdy szkoliłem junaków. Tych wspaniałych młodych chłopców, którzy przyjechali na Podhale, by wypleniać zabobony panoszące się wśród górali. Jako obiekt ataku wybraliśmy przydrożne kapliczki. Wiecie, te pokrzywione postacie Jezusa Frasobliwego, te Matki Boskie o czerwonych policzkach, tych świętych nie wiadomo od czego i za co uświęconych. To my, młodzi przyjaciele, postawiliśmy sobie za zadanie, żeby to wszystko wyrwać i wyplenić. Zamierzaliśmy pokazać góralom, że nic się nie stanie, jeśli to stojące pośród pól paskudztwo wyrwiemy, spalimy i porąbamy siekierami. Ale nie dało się od razu. Chłopy i baby rzucały się na nasz hufiec jak złe osy. Wyrywali żerdki z płotów, lecieli z siekierami, kosami, o mało nas nie zabili, a pobili wielu. Ale przegrali. My nie w ciemną bicia. Nie da się w dzień, to się w nocy kapliczkę rozwali. A ile potem radości było, gdy z daleka obserwowaliśmy, jak się te baby wydzierały, płakały, wrzeszczały na mężów i synów, że obiecali przez noc pilnować, a nie upilnowali. Ale sami wiecie, łatwiej kapliczkę zniszczyć niż pilnować noc w noc całymi

tygodniami. I zniszczyliśmy kapliczki! Och! To były czasy!

\*\*\*

W Zaworach junacy też mieli swoje zadania: srali przed drzwiami pokoju ojca (oj, mieli zabawę, gdy raz i drugi nie spojrzął pod nogi i wdepnął), wyzywali nas od burżujów, porąbali płot przed domem, żeby w zimie było czym palić, zasypali fontannę i urządzili sobie na jej miejscu plac apelowy, w pokoju muzycznym urządzili magazyn na ziemniaki, bez usuwania z niego fortepianu, który przez pół roku, zanim zgnił i się zaśmiardł, wyglądał jak tratwa wynurzająca się z ziemniaczanego morza.

Ci junacy byli jednak o wiele fajniejsi niż moja rodzina. Byli radośni i odważni, a mój ojciec, jak mówiła Babcia z Dołu, był tchórzem, co własnego domu nie potrafił obronić. Junacy pięknie śpiewali na placu apelowym, a w domu nikt nie śpiewał, i tylko u Babci z Góry i u ojca całymi dniami chrypiały i trzeszczały stale zakłócone audycje Radia Wolna Europa. Junacy byli pięknie ubrani w junackie mundury, umieli się gimnastykować, a czasem nawet częstowali mnie jedzeniem. I tak to, a miałem wtedy ze cztery lata, zacząłem się rano, przed szóstą, wymykać z domu i przychodzić jako pierwszy na plac apelowy. Widziałem, jak junacy ustawiają się w szeregu i czekałem na nich, żeby stać na swoim miejscu na końcu, najmniejszy, najmłodszy, ale jeden z nich.

Z początku byli chyba źli i pewnie by mnie wyrzucili, ale nie wiedzieli, jak to zrobić. Przewidywali pewnie, że zacząłbym strasznie płakać, więc pozwolili mi stać w szeregu. A po paru dniach, gdy przestały ich śmieszyć i rozpraszać moje ruchy, pozwolili mi śpiewać z nimi ich pieśni. I śpiewałem:

*Naprzeciw blaskom juuutrzni*

*W śmiertelny żar i huk.*

*Idziemy silni buuutni,*

*przed nami pierzcha wróg!*

Co za piękna melodia, jak dodaje animuszu, jak napędza do wielkich czynów!

Albo inna wspaniała pieśń;

*Naprzód młodzieży świata,*

*ten braterski połączy nas marsz,*

*Dawne przeminą lata,*

*hej, kto młody idź z nami i walcz.*

Śpiewałem, śpiewałem z całego serca i choć apel się skończył, to chciałem śpiewać dalej. Wbiegałem więc po schodach na pierwsze piętro do pokoju Babci z Góry, a ona, widząc mnie, ściszała trzeszczące radio, podnosiła na mnie swoje ogromne, błękitne oczy i pytała:

- Cóż to takiego ważnego się stało, wnusiu, żeś taki zadyszany?

A ja wtedy dumnie, na cały głos, jak junak prawdziwy śpiewałem:

*Niezłomny jest związek*

*Republik swobodnych...*

I w starych, pięknych oczach Leny Roman-Dzieduszyckiej pojawiały się łzy.

*Kolejny fragment książki we wtorek 18 października 2016 roku.*